Świat powieściowy.

Nr. 138 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

Zaklęty i Odczarowany

(Ciąg dalszy.)

Ów sławny wzajemny stosunek, miał teraz przebyć ciężką próbę! Paweł wpadł w gniew szalony, miotając w oczy starcowi obelgi i złorzeczenia. Nazwał go między innemi podłym intrygantem, denuncjantem, wtykającym nos w cudze sprawy i zapewnił w końcu uroczyście: „Iż potrafi uwolnić się raz na zawsze, z pod kurateli nikczemnego służalca!“

Starzec przyzwyczajony do wybuchów drażliwego młodzieńca, przyjął ten cały słów potok, ze spokojem niezachwianym i zwolna wycedził:

— Spełniłem tylko świętą powinność. Jaśnie pani baronowa przywołała mnię konając i rzekła....

— Milcz stary puhaczu do stu katów! — nie dał mu Paweł dokończyć, wiedząc ze smutnego doświadczenia, iż Arnold jest na tym punkcie niewyczerpanym. — Doprawdy! tym wiecznem, nieznośnem gdakaniem, zatruwasz mi tylko świętą pamięć matki mojej! Raz jeszcze powtarzam, iż w Felseneck nie zostanę, a jeżeli myślisz nowe spiski knuć przeciw mojej osobie, to możesz tu sobie siedzieć do licha! a ja sam odjadę!

Wyleciał jak warjat z pokoju. Arnold potrząsł głową miłosiernie.

— A to pałka szalona! — mruknął pod nosem. — Żąda od takiego jak ja starucha, posłuchu i uszanowania! Tym razem atoli na nic się wszystkie fochy nie przydadzą! Zostaniemy tutaj i musi poddać się chcąc nie chcąc surowemu rozkazowi! Dzięki Bogu! że choć w tem stryjaszek okazał się mędrszym, niż w czem innem!

Wyjął po tych słowach klucz z bocznej kieszonki i z krwią najzimniejszą, bez względu na zakaz panicza, wziął się do rozpakowywania kufra wielkiego.

Paweł biegał tam i nazad po obszernej terasie, na którą okna jego wychodziły, a w piersi dotąd burza nie ustawała. Wściekał się na Arnolda: „za podstęp i zdradę haniebną.“ — Wściekał się na stryja, że go w Felseneck zatrzymuje, jednem słowem: odchodził od siebie niemal z okropnej irytacji! Baczny wzrok Arnolda dojrzał i odgadł wszystko doskonale. Piękna i młoda towarzyszka podróży zawróciła mu głowę i nią myśl jego była wyłącznie zajęta. Przybywszy jednocześnie z panią Hertenstein do W., wysiadł w tym samym hotelu i tyle tylko zdołał wyciągnąć z milczącej i niczem nie dającej się wzruszyć starej Duenny, że jej pani chwilowo w W. pozostanie. Gdy zaproponował Arnoldowi, żeby poszedł sam na zwiady w tej sprawie, zamiast bliższych szczegółów o pięknej nieznajomej, musiał odsłuchać z ust nudnego gdery, kazanie sążniste. Nie dziw więc, że jego serce młode i mimo wszelkich szaleństw, zdolne jeszcze do uczucia wznioślejszego, rwało się do W., aby nie stracić z oczu ukochanej, aby nie miała czasu zatrzeć ślad wszelki za sobą. Nagłe zasłabnięcie w skutek ostrego powietrza w Felseneck, wydawało mu się środkiem najpewniejszym, aby uzyskać pozwolenie wyjazdu rychłego.

Powietrze górskie było co prawda zimne i ostre, a jednak działało ono dziwnie odświeżająco na młodego człowieka, zdenerwowanego i zniewieściałego w gorącym włoskim klimacie. Na terasę szło się po kilkunastu stopniach granitowych. Ponieważ była znacznie wyżej od zamku, można było z niej objąć okiem całą tę masę kamieni, te wieże, wieżyczki, niby koronkami otoczone, te rzędy słupów granitowych, kryte galerje, z fryzami misternie wyrzynanemi, te tysiączne szczegóły i ozdoby, niby od niechcenia rzucone, a łączące się w całość harmonijną, niezrównaną!

Stuletni bluszcz okrywał gęstym, połyskującym liściem basztę narożną, w której baron Rajmund obrał sobie mieszkanie. Wychodził z pnia jak ramię grubego i nawet skrzydło do baszty dotykające, korzystało choć już nie tak jak baszta obficie, z pysznych jego zielonych wieńców i festonów.

Zamek nosił najsprawiedliwiej nazwisko Felseneck. Wśród skał i ze skał zbudowany, panował dumnie nad całą doliną, a z częsta chmury nawet kładły mu się u stóp z pokorą, tak wysoko sięgał szczytem swoim.

I to cudo piękności, zbudowano w miejscu niedostępnem, gdzie nikt je nie podziwia, nikt nie widzi, nawet sam właściciel!

— Czyż to nie dowód najlepszy bzika potężnego?! — szepnął Paweł w zamek zapatrzony.

Młody człowiek nie ochłonął dotąd z oburzenia, które nim miotało i snuł dalej plany choroby, aby uciec pod tym pozorem z Felseneck jak najprędzej, gdy ukazał się na terasie marszałek. zapytujący w imie-

niu pana swojego, czy gość z pokoi zadowolony, czy mu czego nie braknie do wygody i czy nie ma jakich rozkazów do wydania?

— Ależ wszystko jest wyborne, nadzwyczajne! — zawołał Paweł ironicznie, nie mogąc na razie stłumić i ukryć humoru najgorszego. Wszystko tutaj miało przywilej drażnić go do żywego, nawet grzeczność pełna uszanowania, ale zimna i milcząca ze strony marszałka.

— Jaśnie pan sądził, iż widok na dolinę weselszy, dla tego wybrał tę stronę zamku z terasą dla pana barona.

— Jestem mojemu stryjowi nieskończenie obowiązany za taką troskliwość! — wtrącił Paweł drwiąco, myśląc o tem jakby się od niej uwolnić. Aby jednak z tem się nie zdradził zbyt wcześnie, coby mogło mu plany pokrzyżować, spróbował pewnej dyplomacji i zaczął przypatrywać się pilnie okolicy, przez perspektywę, którą wyjął z kieszeni, pytając o to i owo z wielkiem na pozór zajęciem.

Marszałek odpowiadał nader lakonicznie, jak to było jego zwyczajem, nazywając tylko po prostu góry pojedyncze i wioski rozsiane po dolinie.

Widok z terasy był istotnie stokroć więcej ożywiony, niż ponury ze skał nagich amfiteatr, na przeciw okien ordynata. Był jednak równie wspaniałym. Tam jedyną odmianę w monotonnym, brunatno-czerwonym skał odblasku, stanowiły gór szczyty, świecące lodowcami i śniegiem wiecznym upudrowane, a więc piętnem śmierci naznaczone, w dolinie za to okolonej od północy górami, otwartej zaś szeroko do strony południowej, rozsiadły się miasteczka, wsie i mniejsze po kilka domków liczące osady; źródliska w jedno koryto zebrane, uformowały piękną, bystrą rzeczułkę, która niby srebrna niteczka, przeplatała, wijąc się kapryśnie, łąk bujnych zieloność szmaragdową, lub toczyła z szumem fale u stóp pagórków, pokrytych winnicami. Miasteczko P. leżało jak na dłoni, z kilkoma kościołami i pięknym, starożytnym ratuszem. W wioskach niektórych świeciły również zdaleka kopuły blachą pobite kaplic mszalnych lub kościółków. Dziś na szczęście powietrze było nie tak mgliste i można było objąć wzrokiem całą okolicę, na przestrzeni mil kilka.

— To tutaj jest Werdenfels — marszałek wskazał jedną z największych posiadłości — a tam na górze zamek rycerski, gniazdo i siedziba odwieczna baronów Werdenfelsów.

— Znam dobrze tę piękną siedzibę — Paweł szkło na zamek skierował — byłem tu przed laty z moim ojcem. I ten zamek, w tak cudownem położeniu, otoczony parkiem iście królewskim, pełnym drzew stuletnich i najrzadszej zwierzyny, stoi teraz pustką! — dokończył z goryczą.

— Jest utrzymywany najstaranniej — marszałek wtrącił szybko. — Jaśnie pan wydaje rocznie sumy ogromne, aby wszystkie budynki, park, ogród, cieplarnie i ananasarnie, zostały nietknięte zębem czasu i rozwijały się dalej w całej okazałości.

— Od śmierci ojca baron Rajmund nie był nogą w zamku Werdenfels?

— Tak jest, nie był tam odtąd nigdy.

— Rzecz dziwna!... Chodziły o tem głuche wieści... miało zajść coś nadzwyczajnego, co pobyt w zamku uczyniło dla barona wręcz niemożliwym?...

— Do mojej wiadomości nie doszło nic podobnego!

— Nic? — Paweł wpatrzył się w starca przenikliwie. — Moi rodzice dość często o tem wspominali. Dziś już sobie dokładnie nie przypominam o czem mówili; chłopiec mały, roztrzepany, nie bardzo się troszczyłem temi sprawami. Pan musiałeś atoli być już wtedy w usługach domu Werdenfelsów... Czyżbyś na prawdę nie miał nic o tem wiedzieć.

— Nic zgoła panie baronie!

— Prędzej bym jedną z tych brył skalistych w taniec puścił, niż wydobył co z tej mumji zaschniętej! — pomyślał Paweł zniecierpliwiony, zwracając szkło w inną stronę. — A tenże ładny domek w guście szwajcarskim, cały zielenią owity — spytał po chwili, ręką wskazując — czy także należy do dóbr barona Rajmunda?

— Nie, to jest wioska Rosenberg, własność należąca do pewnej wdowy.

— Zapewne także wyżej lat pięćdziesięciu! — Paweł szepnął sam do siebie. Wszystkie te szczegóły zresztą nic a nic go nie interesowały, z samych nudów atoli pytał dalej:

— Jakże się nazywa właścicielka Rosenbergu?

— Pani Hertenstein.

O mało Pawłowi szkło z rąk nie wypadło, tak gwałtownie zwrócił się ku mówiącemu.

— Jak pan nazwałeś tę damę?

— Panią Hertenstein — powtórzył marszałek, uderzony tonem namiętnym i ciemnym rumieńcem, którym twarz młodzieńca nagle spłonęła. Paweł zauważył to zdziwienie w oczach starca i próbował zdobyć się na zupełną obojętność, co mu się jednak nie całkiem powiodło.

— Poznałem... przypadkiem w mojej podróży, damę tego nazwiska — rzekł z pewną nonszalancją — kobietę młodą i piękną...

— Tak jest! — marszałek potwierdził, wzrok badawczy wpoiwszy w rysy młodzieńca — to właśnie ona.

— Czy dawno już owdowiała? Nie mieszka zapewne w Rosenbergu? Czy odwidza przynajmniej kiedy te strony?

Pytania gradem spadające z niezwykłem ożywieniem, znalazły nawzajem odpowiedzi nader chłodne i lakoniczne.

— Żyjemy w Felseneck panie baronie, zupełnie od świata odosobnieni, z nikim stosunków nie nawiązując. O całej okolicy zatem nie wiem nic zgoła. Trafem tylko obiło mi się o uszy, że właśnie na przyszły ty-

dzień oczekują w Rosenberg tegoż właścicielkę. Adwokat Freising, z którym wczoraj w interesach pana mojego konferowałem, wspomniał mi nawiasem i o bliskim powrocie pani Hertenstein.

Paweł w radośnem uniesieniu, byłby najchętniej rzucił się na szyję starcowi, którego przed chwilą tak złośliwie: „mumią“ zatytułował. Gdy to jednak nie dało się wykonać, rozwinął nagle cały zasób uprzejmości, chwalił w czambuł co tylko jakokolwiek pochwalić się dało, mówił z zapałem o polowaniu na gemzy, które jutro zaraz rozpocznie, wspomniał i o zamkowej bibljotece, potrzebnej mu do studjów rozmaitych, okazał się jednem słowem zachwyconym pobytem w Felseneck. Tem powściągliwszym zrobił się stary marszałek. Może coś przeczuł, czegoś zaczął się domyślać, dość na tem, iż mimo całej grzeczności, pełnej uszanowania, zaledwie bąknąwszy rodzaj odpowiedzi, na ten wylew słów czułych, oddalił się natychmiast, pożegnawszy młodzieńca niskim ukłonem.

Arnold nie skończył był jeszcze z rozpakowywaniem, gdy młody pan jego wpadł napowrót jak bomba do pokoju, teraz atoli z zupełnie innym wyrazem i w najweselszem usposobieniu.

— Jeszcześ nie gotow? — spytał niecierpliwie.

— Nie, bo wziąłem się do wielkiego kufra, rozpakowuję całą garderobę! — mruknął stary, prostując się w pozycji zaczepno-odpornej. Tym razem mina junacka, walkę zaciętą wróżąca, nie na wiele mu się przydała. Paweł okazał dziwną wybaczliwość, iż tak rozkaz jego pominięto, a raczej na wywrót wykonano.

— Dobrze, dobrze! — rzekł tonem najłagodniejszym. — Rozpakuj tylko. Po bliższem rozpatrzeniu i zastanowieniu, uznałem i ja, że właściwie słuszneś radził... Zostanę w Felseneck!

Arnold z wielkiego przerażenia, wypuścił z rąk tuzin koszul, które właśnie niósł do szafy na półkę. Było to czemś tak niezwykłem, niesłychanem, żeby Paweł przyznał kiedy rację staremu, iż schwycił się aż za głowę oburącz, czy jeszcze ona na dawnem miej scu się znajduje, czy świat się przypadkiem nie wywrócił do góry nogami!

— Tak! tak, niezawodnie! Muszę przecie zachować pewne względy... skłonić się do życzeń stryja... Jest głową rodziny, moim opiekunem... zresztą obsypywał mnię i obsypuje dobrodziejstwy! Mogęż w obec takich dowodów dobroci, wspaniałomyślności, okazać się niewdzięcznym, nieposłusznym?... Wprawdzie wmięszałeś się Arnoldzie nie w twoje sprawy, przekroczyłeś granice, dzielące sługę od pana i w tej chwili zapominasz o należnem mi posłuszeństwie, rozpakowując, kiedy ci to zakazałem... ale ja wiem stary, że ty wszystko robisz z serca poczciwego, żeś w gruncie do mnie szczerze przywiązany i chcesz tylko mojego dobra.... zostaniemy zatem tutaj.

— Przez całą zimę? -- bąknął Arnold nieśmiało, uszom własnym nie wierząc.

— Nawet i przez całe lato, jeżeli stryj tego zażąda! — zawołał Paweł z zapałem. — Rozpakuj wszystko... Zostaniemy!

Po tych słowach wyszedł do drugiego pokoju, spostrzegłszy z radością, iż z okien sypialni widać jak na dłoni Rosenberg.

Arnold z oczami wybałuszonemi, z gębą szeroko roztwartą, stał nad kufrem skamieniały. Znał on nadto dobrze swojego panicza, aby uwierzyć w tak gwałtowne nawrócenie! Z miną nader kwaśną schylił się wreszcie zbierając koszule rozsiane po posadzce i mruknął gniewnie głową kiwając:

— Oho! z pewnością odkrył gdzieś w bliskości spodniczkę, o wiele młodszą, niż pięćdziesiąt-letnia leśniczyna!... Znamy się na tem!

IV.

Baronowie Werdenfels byli od wieków rodem możnym i potężnym. Rządzili despotycznie na znacznym dóbr swoich obszarze i uważali się za panów życia i mienia swoich poddanych. Nowsze czasy, przynosząc w stosunkach poddańczych olbrzymie zmiany i prawa sprawiedliwsze, ukróciły cokolwiek dziką samowolę Werdenfelsów. Dość jednak im zostało z dawnej, zuchwałej energji, aby nie dać się zepchnąć zupełnie ze stanowiska panów samodzielnych i jeszcze ojciec barona Rajmunda, wywierał wpływ wielki na całą niemal prowincję. Rządy Werdenfelsów, co prawda, nie były nigdy zbawiennemi dla warstw niższych. Z ich strony despotyzm bez granic i ucisk straszliwy, wywoływały w klasie roboczej, szczególniej w ludzie wiejskim, stykającym się z nimi bezpośrednio, bojaźń i pozorne uszanowanie, w gruncie zaś nienawiść i chęć zemsty głęboko zakorzenionej, od wieków po cichu w sercach wieśniaków nurtującej, a która pod koniec życia starego ordynata, miała nawet jawnie wybuchnąć rokoszem i buntem, przeciw jego tyranji podniesionym.

Stary baron nie żył od dawna, postarał się jednak, aby pamięć złowroga po nim została na długo! na bardzo długo! w umysłach ludu. Był on jedną z tych natur dzikich, namiętnych, niepohamowanych, które niestety w rodzie jego często się pojawiały. Urodzony w wieku ośmnastym, w epoce, w której mimo pewnych reform w społeczeństwie, magnat, tak jak on potężny, mógł sobie wszystko niemal bezkarnie pozwalać, przytem wysoki dygnitarz wojskowy, właściciel jednego z pułków konnicy, na pamiątkę, iż dziad jego, podczas wojny siedmioletniej, sam ten pułk umundurował i końmi z własnej stadniny opatrzył, jenerał w linji, a po wystąpieniu obdarzony przez monarchę tytułem feldmarszałka, miał wszędzie mir i poparcie ogromne, czego też w wysokim stopniu nadużywał, trzymając niższych i podwładnych dłonią żelazną, nie pytając się bynajmniej o prąd liberalny, o postęp w cywilizacji, nie dopuszczający podobnych wybryków samowoli i gwałtów, na niższych dopełnianych, rozciągał nad wszystkimi rządy despotyczne, był srogim i nieubłaganym tak dla

wieśniaków w jego dobrach zamieszkałych, jak dla oficjalistów i służby, tyranizował nawet żonę i syna jedynaka.

Żona jego należała do rodu książąt panujących. Mitra skroń jej zdobiąca, spowodowała oświadczenie się o jej rękę barona Werdenfelsa. O czulszem dla niej uczuciu mowy nie było! Dumnym był, że ożenił się z księżniczką, z dumą również powitał urodzenie syna. Ciężko by mu było zstąpić do grobu, nie zostawiwszy potomka płci męzkiej wielkiego rodu swojego, zresztą jak o żonę, tak i o jedynaka, nie wiele się pytał i troszczył. Gdyby przynajmniej Rajmund, był wiernem odbiciem ojca, natury dzikiej, nieokiełzanej, brutalnej, może byłby się do niego przywiązał, ale usposobienie łagodne, ciche i skłonność do marzycielstwa po matce odziedziczona, budziły tylko wstręt i drwiące przycinki ze strony ojca, który prócz słów nagany, nie miał iskry czulszego uczucia w sercu dla syna jedynego. Wcześnie matkę utraciwszy, Rajmund rósł wyłącznie pod ręką ojca srogą i nieubłaganą, w karności niewolniczej, nie mogąc w niczem własnego zdania objawić. Z niższymi od siebie, z ludem wiejskim, nie spotykał się nigdy młody chłopiec. Czy było mu to zakazanem, czy też sam tego nie pragnął, dość na tem, iż nie starał się bynajmniej łagodzić umysły rozjątrzone, nie starał się zmniejszyć nienawiści, którą ojciec jego zasiał w sercach podwładnych. Wiedziano wprawdzie, że młody baron nie ma zupełnie głosu i sam jęczy w jarzmie niewolniczem, nie mogąc ani na chwilę lżej odetchnąć, jednak i na niego z niechęcią patrzono i syna razem z ojcem nienawidzono.

Przyszedł wreszcie rok ogólnych zaburzeń w całej niemal Europie. Z miast większych iskra w prochy rzucona i wsie dosięgała. Buntowano się jawnie, złorzeczono głośno właścicielom większych posiadłości, zarzewie, dotąd w cichości i w ukryciu tlejące, wybuchało teraz jasnemi płomieniami. Werdenfels było w całem tego słowa znaczeniu podminowane! Stosunek między dziedzicem a klasą roboczą, stał od dawna na ostrzu miecza; nienawiść od wieków nagromadzona, groziła obecnie wybuchem piekielnym, srogim odwetem za wszystkie krzywdy doznane, baron jednak, mimo tak krytycznej sytuacji, nie dał się nakłonić do ustępstw najlżejszych. Drwił w najlepsze z sąsiadów, którzy wchodzili w układy z robotnikami, nazywał ich głośno nikczemnymi tchórzami, uchodzącymi przed lada chłopem, a sam prześcigał się w lekceważeniu i deptaniu prawie po głowach swoich podwładnych.

Skutki najfatalniejsze podobnego tyraństwa, dały się łatwo przewidzieć, nie raz i nie dwa próbowano zrzucić jarzmo, przychodziło do zajść z wieśniakami, nader smutnych i gwałtownych, dotąd jednak baron Werdenfels wychodził z nich zwycięzko. Potrafił on lepiej niż ktokolwiek, grać rolę pana samowładnego. Jego duma nieugięta, odwaga szalona, postawa wyniosła, głos stentorowy, do komendy nawykły, imponowały okrutnie tłumom bezmyślnym. Hałasowali i krzyczeli z daleka, z bliska jednakże nie ważyli się przystąpić do tyrana znienawidzonego, ale budzącego w nich nie mniej uczucie strachu i grozy niesłychanej.

Przyszło wreszcie do ostateczności. Drobny na pozór wypadek spowodował katastrofę, a upór żelazny barona w tym razie, jak i w każdym innym, przyprowadził masy i tak wzburzone do szału dzikiego. Ludność cała z wiosek okolicznych, uzbrojona w topory i olbrzymie tarany z drzewa, pod zamek podstąpiła, złorzecząc baronowi i grożąc mu krwawą zemstą. Nie uląkł się i tej groźnej demonstracji, kazał zatarasować bramy, uzbroił służbę, i ze strzelnic w murze, zamek opasującym, strzelać rozkazał do tłumu zbuntowanego. Kto wie na czem by się było skończyło to całe zajście, przy dość skąpym zapasie broni i amunicji w zamku, gdyż i chłopi zdawali się tym razem nieustraszeni i na wszystko zdeterminowani, gdyby nie był im szyków pomięszał w chwili stanowczej wypadek nadzwyczajny.

Oto, gdy już bramy trzeszczeć zaczynały pod naciskiem oblegających, w samym środku wsi Werdenfels pożar wybuchnął. Paliło się jedno całe obejście tak gwałtownie, jakby stanowiło jedną smolną pochodnię. Jakim cudem ogień powstał, skąd się wziął? tego nikt nie wiedział, dość, że się paliły wszystkie naraz budynki. Dzień był suchy, mroźny, a od Dziewicy z lodu pędził wicher w dolinę, roznosząc głownie z dachu na dach, po wsi całej.

Na widok łuny od wsi bijącej, na myśl straszliwą, że ich domostwa, trzody, dobytek, a nawet i dziatki drobne mogą paść w jednej chwili ofiarą niszczącego żywiołu, tłum zemstą dyszący zapomniał o nienawiści, o wszelkich krzywdach wyrządzonych i z głuchym jękiem rzucił się do wsi ratować co można. Za późno jednak przybyli. Ogień, dzięki wichrowi, nadto się już był rozszerzył, a morze płomieni urągało wszelkim ludzkim usiłowaniom. Kilku śmiałków, którzy na oślep w płomienie lecieli, aby choć cośkolwiek uratować, zapadające się zręby domostw ciężarem swoim przygniotły. W krótkim czasie ogień wszystko pochłonął, a całe Werdenfels było jedną wielką mogiłą dogasających zgliszczy i popiołu.

Zamek na swojej dumnej wyżynie, pozostał nietknięty, ma się rozumieć, straszliwym żywiołem. Przeciwnie nawet, pożar we wsi wyszedł mu na pożytek, oddalając od jego murów tłuszczę rozpasaną, nienawiść atoli podniosła się dziesięciorako w sercach i umysłach gminy, takiem nieszczęściem dotkniętej, zaczęto przebąkiwać, iż ten pożar, zszedł się dziwnie z zamku oblężeniem. Głuche wieści obiegały, że stary baron sam tak zarządził, aby obronić zamek od napastników, że nawet własnemu synowi polecił spełnienie okrutnego rozkazu, aby wieś całą w perzynę obrócić. Były to pogłoski niemające żadnej podstawy, bezmyślne, bezsensne, a jednak im wierzono, z ust do ust podawano, i usposobienie ludności dla dziedzica było tego rodzaju, iż mógł paść lada chwila trupem z ręki skrytobójcy.

I on sam to wreszcie zrozumiał, usuwając się na czas dłuższy z Werdenfels wraz z synem. Gdy wrócił z zagranicy, zmienił się zupełnie horyzont polityczny, bunty i rewolucje stłumiono za pomocą armat i bagnetów, rządy ujęły na nowo poddanych w karby surowej dyscypliny, nie znosząc nigdzie najlżejszych wybryków. Napadu zatem w dzień biały, baron nie potrzebywał się obawiać, a nienawiści po cichu między ludem nurtującej, postanowił jak dawniej stawić czoło miedziane. Miał on do wyboru mnóstwo innych zamków i pałaców, zamieszkał jednak w Werdenfels, aby go nie posądzono o lęk przed motłochem, o haniebne zrejterowanie wobec chłopów! Był jak dawniej dumnym, srogim i nieugiętym, zająwszy znowu pierwszorzędne stanowisko, między magnaterją okoliczną.

Baron Rajmund wcale nie wrócił. Stosunek między nim a ojcem, uległ zmianie najwidoczniej, gdyż. jeżeli przedtem nie wolno mu było krokiem ruszyć się bez woli ojca, teraz podróżował miesiącami, a stary baron nie troszczył się o to bynajmniej. Do Werdenfels wpadał od czasu do czasu, zaledwie na kilka dni i to tylko na wyraźny rozkaz ojca.

Tak lata mijały, a Rajmund nie myślał o stałem osiedleniu, o ożeniaczce, tak przez starego barona upragnionej, tak nieodzownej, aby nie dać wygasnąć starszej linji wielkiego rodu Werdenfelsów. Gdy wszelkie ojca napomnienia bez skutku pozostały, uciekł się jak zwykle do środka ostatecznego i czynnie wmięszał się w tę sprawę. Wybrał samowładnie partję stosowną i prosił o rękę panny w imieniu syna, a otrzymawszy przyrzeczenie solenne, na niewidzianego (jak to w wielkich rodach często się praktykuje) doniósł synowi do Włoch, gdzie bawił wtedy, aby wracał natychmiast brać ślub z narzeczoną, której nie znał zupełnie. Tym razem atoli, nie udało się ojcu zmusić syna do ślepego posłuszeństwa. Odmówił ręki panny, z należnem dla ojca uszanowaniem, ale stanowczo. Stary baron zaszedłszy w tej sprawie zbyt daleko, aby możebnem było wycofanie się z honorem, odchodził od zmysłów z gniewu wściekłego, grożąc klątwą i wydziedziczeniem. Syn jednak pozostał nieugiętym. Przy tej sposobności inne jeszcze kwestje zostały zapewne poruszone, gdyż po okropnych burzach i scenach, przyszło między ojcem a synem do zupełnego zerwania. Rajmund opuścił zamek Werdenfels, aby nigdy więcej nie wrócić do siedziby przodków swoich, ojciec zaś gotując się do spełnienia groźby i czyniąc kroki prawne potrzebne do wydziedziczenia syna krnąbrnego, zapewne w skutek przebyłych irytacji, padł jednego dnia pięknego, zabity udarem. Syn wezwany natychmiast przez lekarzy, przybył za późno... ojca zastał już na katafalku.

Werdenfels zmieniło więc pana i zdawało się zrazu, iż lepsze czasy nastaną, były to jednak nadzieje ułudne. Staremu baronowi nie można było przynajmniej odmówić mimo dzikich jego wybryków, żelaznej konsekwencji i stałości w postępowaniu, syn natomiast był dziwnie zmienny i kapryśny w każdym kierunku, we wszystkich swoich skłonnościach i zamiarach. Skoro pogrzeb się odbył i ojciec spoczął w podziemiu kaplicy zamkowej, wyniósł się baron Rajmund do małego pałacyku o milę od Werdenfels, i jak za życia ojca w nic się nie mięszał, tak teraz przeciwnie, rozwinął z początku, zostawszy panem dóbr rozległych, energję niezwykłą. Wziął na siebie całą administrację, nosił się z planami wielkich reform i ulepszeń w gospodarstwie, wieśniaków w dobrach swoich obsypywał dobrodziejstwy, próbował nawet osobiście zbliżyć się do ludu roboczego, i przyjaźne stosunki z nim nawiązać.

Wszystkie te jednak szlachetne zamiary spełzły na niczem. Czy zniechęcił się, zbierając wszędzie zamiast wdzięczności, dowody jawnej, od dawna zakorzenionej nienawiści i prawdziwie chłopskiej podejrzliwości, czy był to u niego tylko przelotny kaprys filantropijny, dość na tem, iż wkrótce popadł w stan ponurej jakiejś melancholji, uciekał i unikał zetknięcia z ludźmi najstaraniej, gdy wpierw sam ich szukał, wyniósł się do dzikiej ruiny w Felseneck, przemieniwszy ją, jakby za dotknięciem róższczki czarodzieja, w pyszną, królewską siedzibę. Werdenfels, jak i reszta pałaców, stał pustką i nigdy w nich odtąd nikt nie mieszkał.

Na szczęście dobra były doskonale administrowane. Stary baron żył z wielkiem wyrachowaniem, oficjalistów trzymał krótko, wypędzał za najlżejsze uchybienie, ale płacił sowicie, pamiętał (jeżeli mu wiernie służyli) o ich wdowach i dzieciach, trzymali się więc na miejscu latami i zwykle syn po ojcu wstępywał na ten sam urząd. I teraz więc, szło wszystko dawnym trybem; dobra podnosiły się w wartości, z leśnem gospodarstwem obchodzono się również oględnie i umiejętnie, dochody z dóbr rosły z każdym rokiem, podczas gdy ich dziedzic, wydając sumy olbrzymie na utrzymanie zamku i parku w Werdenfels, zamykał się coraz ściślej w zamku Felseneck, zerwawszy stanowczo wszelkie ze światem stosunki.

Gdy gruchnęła wieść po okolicy, iż do samotnego Felseneck, przybył gość niespodziewanie, wywołało to w umysłach wszystkich olbrzymie wrażenie. Pawła uważano od dawna, za przyszłego ordynata i spadkobiercę dóbr rozległych. Chociaż z linji młodszej, był jedynym reprezentantem wielkiego rodu Werdenfelsów. Dotąd jednak baron Rajmund, zdawał się zupełnie ignorować młodszego kuzyna, nie pragnąc bynajmniej jego widoku. Był to więc znowu jeden z jego kaprysów, nie dających się naprzód obliczyć, iż tak nagle Pawła do siebie powołał. Żałowano ogólnie młodzieńca, który musiał opuścić piękne Włochy i kółko wesołych, serdecznych przyjaciół, aby ponuremu odludkowi dotrzymywać towarzystwa, w jego gnieździe skalistem, wśród chmur zawieszonem, i żyć tam samotnie, jak więzień, gdyż prawdopodobnie i jemu stryj zakaże wszelkich ze światem stosunków.

Paweł atoli uważał teraz pobyt w Felseneck, który mu się z razu wydał karą najsroższą, za łaskę niebios;

I on gotów był uwierzyć z signior Bernardem pospołu, iż jest dzieckiem szczęścia, wybrańcem losu! Odkąd się dowiedział, iż jego piękna towarzyszka podróży, której ślad tak nagle urwał mu się w W., przebywa stale w tak blizkiem sąsiedztwie, Felseneck rajem istnym być mu się zdawał! nie był by zamieniał ponurego i samotnego zamku, na willę najroskoszniejszą w Wenecji.

Chwilowo dał pokój tak polowaniom jak i studjom z pomocą biblioteki stryja, rozwinął za to tem większą gorliwość w uregulowaniu swoich interesów z adwokatem Freising, do którego odesłał go baron Rajmund. Prawnik wiedział o spodziewanym w tych dniach powrocie pani Hertenstein, znał ją więc bliżej, może nawet prowadził jej interesa? Ta okoliczność była aż nadto wystarczającą, aby Freising stał się dla młodego barona osobistością nader interesującą. Zaraz też nazajutrz postanowił go odwidzieć i zamiar wykonał.

(Ciąg dalszy nastąpi)

L'OMBRA.

NOWELLA.

(*Ciąg dalszy*).

Sezon zabaw wszelkiego rodzaju, rozpoczął się na dobre w Londynie. Po balach następowały koncerta, po koncertach kursa. Wszędzie ogłoszono lady Stève królową piękności. Księżna widząc ją otoczoną i hołdami obsypaną, pierwsza ją do zabaw namawiała. Pragnęła teraz tem goręciej powrotu syna, pewną będąc, iż nie potrafi oprzeć się tylu wdziękom, iż zechce odnieść zwycięztwo nad wszystkimi i serce pięknej Erminji, dotąd — o ile się zdawało — niezajęte, dla siebie zatrzyma. Jakżeby czuła się szczęśliwą, dostawszy taką synowę! Pod niebiosa wynosiła przymioty Erminji, przed hrabią de Bocé.

— Jest roskoszą życia mojego! — powtarzała z zapałem. — Dotąd nie spostrzegłam w niej cieniu samolubstwa, kaprysu najlżejszego!

— A jaka dobroć, łagodność niezrównana! — dorzucał od siebie hrabia zachwycony. — Czy można grać lepiej w szachy w tak młodym wieku?!... Jak ona śmieje się roskosznie, gdy się czasem ze mną przekomarza! Co to za rozum, jaki dowcip lekki, nie złośliwy! Kobieta czarująca!

Mogła więc śmiało donieść Barini'emu Erminja, że jest kochaną, rozpieszczaną po nad wszelkie oczekiwania, że jest najszczęśliwszą jednem słowem!

Była nią w samej rzeczy. Zabawy różnorodne miały dla niej urok nowości, cieszyły ją nawet hołdy u nóg jej składane, chociaż tychże bynajmniej nie wywoływała. Na jej radość dziecinną, naiwną, cień jedyny rzucała nieobecność Willjama i niemożność śpiewania. Ileż razy żałowała obietnicy danej staremu przyjacielowi... Tak jej dotrzymywała skrupulatnie, iż nikt się nie domyślał nawet, że posiada muzykę. Jej odpowiedzi, gdy pytano czy gra na fortepianie, były tak skromne, tak wahające, że ją posądzano o grę więcej niż mierną, co wywołało na usta pana de Bocé wykrzyknik jeden więcej uwielbienia.

— Doskonałość we wszystkiem! Nie gra, nie śpiewa, bawi nas rozmową zajmującą, zamiast kaleczyć uszy fałszami!

Jeden z balów ostatnich, najpiękniejszy z tego sezonu, był dany na cześć pięknej cudzoziemki. Wystąpiła w cudownej toalecie, z Paryża sprowadzonej. Wejście jej sprawiło olbrzymią senzację. Ustawiono się szeregiem, tworząc szpaler, jak dla jakiej monarchini, aby ją powitać. Szmer podziwu wznosił się niby dym kadzideł, w całej sali tłumy tancerzy cisnęły się, aby otrzymać jeden *tour* walca lub mazurki. Nawet kobiety cedziły przez zęby pochwały dla jej piękności i tualety niezrównanej. Odurzona, uszczęśliwiona Erminja, dziękowała nie tylko za słowa, ale za każdy niemal uśmiech, którym ją przyjmowano i przelatywała po sali, oparta na ramieniu tancerzy, jak ptaszek lekka i swobodna. Wkrótce gorąco w sali było nie do zniesienia i królowa balu uczuła się wreszcie zmęczoną.

— Przyjm milady moje ramię — szepnął jej hrabia de Bocé. — Wejdziemy do cieplarni, gdzie jest o wiele chłodniej, a tak i mnie się coś dostanie, z dnia dzisiejszego roskoszy.

Prześliznęli się przez tłumy tańczące niepostrzeżenie i dobili szczęśliwie do portu, gdzie mogli odetchnąć pełną piersią powietrzem świeżem, wonią kwiatów przesiąkniętem.

— Przyznaj teraz milady, skoro jesteśmy sami, iż nasłuchałaś się co nie miara, kłamstw i grzecznostek zdawkowych? — odezwał się hrabia.

— Kłamstw? — odrzuciła ze śmiechem. — Myślisz więc hrabio, iż nie zasługuję na pochwały, któremi mnie darzono?

— Wartaś drugie tyle milady, i dla tego niedowierzam słówkom miodowym, któremi cię twoje rywalki obsypują.

— Rywalki? Nazwij je pan raczej przyjaciółkami. Tak szczerze przecież dłoń moją ściskają!

— Ufność bezwzględna jest ślepą i prowadzi nas częstokroć na bezdroża. Życzę ci milady nie wierzyć w szczerość dam salonowych. Strzeż się popełnić jakikolwiek czyn nierozważny, nie stosujący się ściśle do przyjętej etykiety salonowej. Zobaczyłabyś, z jakim apetytem rzuciłyby się na ciebie te kochane przyjaciółki i jakby cię gryzły i szarpały! Cóż by to był za tryumf! za radość ogólna!

Słowa ostatnie przeszyły Erminję jak sztyletem. Ujrzała się na scenie, pod maską *L'Ombry*, wyobraziła sobie święte oburzenie, tak młodych jak i starszych lady; sam hrabia, który się czuje dumnym, ramię jej podając, i przechodzi z nią przez tłum z głową podniesioną, spuścił by może tak głowę jak i oczy, pełen

wstydu i upokorzenia, gdyby wiedział kogo prowadzi. Odkąd żyła pod dachem księżnej, nauczyła się więcej co się tyczy kodeksu światowego, niż przez wszystkie lata spędzone w Alpino. Wiedziała teraz, iż nigdy by jej nie darowano występów nierozważnych na deskach teatralnych. Jeden może przyjął by tę wiadomość z miłosierną pobłażliwością... wytłumaczył by jej zapał dla sztuki... mógłże by atoli wiedząc o tem, oddać jej swoją rękę, pozwolić jej nosić nazwisko księżny Whitefield?... Czy w tym przypadku nie przeważyłyby przesądy arystokratyczne szału chwilowego?...

Zadrżała w głębi duszy i uczuła szczerą wdzięczność dla Barini'ego, że wymógł na niej ukrycie talentu, który mógłby ją zgubić bezpowrotnie!.. Dotąd tajemnica pozostała niezbadaną... i nikt się o niczem nie dowie!...

— O czem tak dumasz milady? — przemówił wreszcie jej towarzysz. — Znajdujesz zapewne, iż jestem nieznośnym, starym mizantropem, który płoszy roskosz i wesołość? Masz słuszność zupełną! Co mi też przyszło do głowy krzyczeć „baczność!“ — jak gdybyśmy znajdowali się w pośrodku osławionego lasu *Bondy* lub w *Abruzzach*! Używaj więc swobodnie twoich tryumfów, ciesz się, żeś piękna, młoda i łatwowierna... powiedz sobie, że starość jest niegodziwą plotkarką, zazdrośnicą, która dla tego, że dla niej zgasło słońce, widzi i w drugich same ciemne strony.

Erminja pociągnęła hrabiego w głąb cieplarni. Dusza jej potrzebowała ciszy i samotności. Usiadła, wskazując miejsce obok siebie sędziwemu towarzyszowi na kanapce, ukrytej w kłąbie z drzew pomarańczowych.

— Przypominają mi moją piękną ojczyznę! — westchnęła.

Tylko mówić skończyła, gdy usłyszeli u wejścia do cieplarni kilka głosów wesołych. Były to młode miss, gwarzące ze śmiechem, które również szukały ochłodzenia. Nie spostrzegły na razie siedzących. Erminja już się podnosiła, aby powitać je uprzejmie, gdy jej nazwisko z przekąsem wymówione, odbiło się o jej uszy.

— Zdaje mi się, iż lady Stève odjechała — rzekła miss Pamela. — Ta „królowa piękności“ ulitowała się wreszcie nad nami. Gdy jej nie stanie, może też danserowie przypomną sobie i o nas.

— Królowa piękności?!... mniejsza o to! — wtrąciła inna złośliwie — chociaż mnie bynajmniej nie zachwyca ta minka skromniutko-naiwna fałszywej Madonny... Jedynym powodem ogólnego zaciekawienia jej osobą, jest tytuł cudzoziemki!

— Ma ona i więcej tytułów i przymiotów, przyciągających serca niestałe naszych dżentelmenów — skręciła noskiem miss Pamela. — Najprzód jest wdówką, co jej daje możność być wobec panów śmiałą, zaczepną i kokietką doświadczoną, co dalej... jest niesłychanie bogatą! Magnes to dla naszych panów najsilniejszy! Jej zresztą wychowanie, nie odpowiada bogactwu i stanowisku... ani cienia jakiegoś talentu salonowego! Kto tam wie jaką była jej przeszłość we Włoszech! Zjawiła się nagle w Londynie, niby areolit z nieba spadły, bez opieki, bez towarzyszki jakiejkolwiek!

— Zapewniają — odezwała się miss poprzednia — iż jest narzeczoną księcia Whitefield, tylko że on jak słychać, nie dba o nią wcale, bo zakochał się w jakiejś spiewaczce. Księżna matka umiera, jak mówią, z trwogi, żeby nie chciał zrobić z tej artystki księżny Whitefield.

— Czyż można żenić się z aktorką?! — wykrzyknęła miss Aurora. — Książe jest oryginałem, fantastą, przyznaję!... wie jednak co winien swojemu stanowisku i nie zrzucił by swojego nazwiska starożytnego w śmiecie zakulisowe, pod nogi kobiecie, która pokazywała się publicznie za pieniądze, którą tłumy całe lornetowały i krytykowały.

— Ah! to okrutnie! — szepnęła Erminja omdlewająca.

Hrabia porwał ją za ramię, nakazując milczenie i wstrzymując jednocześnie aby się nie pokazała, czem by pobudziła miłe gronko do tem sroższej nienawiści. Istoty podobne nie przebaczają nigdy, jeżeli je się złapie na gorącym uczynku.

Orkiestra walca zaintonowała, i danserki wróciły do sali.

— Nie bierz do serca milady czczej gadaniny tych żmyjek! — hrabia de Bocé uspokajał z ojcowską niemal czułością szlochającą Erminję. — Pokazując swe żądełka zatrute, i one ci rodzaj hołdu składają. Sposób to jak i inny wyznania swojej niższości. Dostało się po trochę i poczciwemu Willjamowi... Posądzać go o żenienie się z aktorką! Czyż by chciał wystawiać się na potępienie całego naszego towarzystwa!... nigdy by nie popełnił czynu tak haniebnego!

Była to kropla za wiele w kielichu goryczy. Biedna, udręczona Erminja, załkała gwałtownie. Wszelkie perswazje hrabiego długo, długo, uspokoić jej nie mogły... Osuszyła łzy nareszcie, niepodobna było jednak pokazywać się w sali, z oczami od płaczu czerwonemi. Hrabia zatem odszukał księżnę, w kilku słowach objaśnił jej zajście całe i powód rozżalenia młodej lady. Wymknęli się w trójkę niespostrzeżenie i z balu przedwcześnie odjechali.

VII.

Na balu owym spotkała Erminję nauka ciężka i surowa. Czyn, uważany przez nią jako zabawka niewinna, wydał jej się teraz zbrodnią niemal, czemś, zostawiającem na jej czole niestarte piętno hańby. Osądzała się ostrzej nawet, niżby to złośliwe miss potrafiły. Jakże ona, lady Stève, mogła zniżyć się do poziomu płatnej aktorki? Jakże mogła przystać na występ publiczny? Ten błąd rzuci cień na całą jej przyszłość, a miłość zrodzona w takich warunkach, nie może być czystą i trwałą. Te słowa: „Willjam miał by się że-

nić z aktorką? Cóż znowu!" — dzwoniły w jej uszach, niby wyrok śmierci czytany skazańcowi. Tak, tak! ten, którego ukochała, nie może nigdy dowiedzieć się, że ona była *L'Ombrą*! Jest więc skazaną żyć w wiecznem kłamstwie i trwodze śmiertelnej!

Potrzebowała dni kilku, aby odzyskać równowagę i być jak dawniej swobodną. Udawała wprawdzie wesołą, umysł jej atoli przygniatały myśli smutne i ponure.

Sezon balowy skończył się w Londynie, zaczynała się pora wielkich polowań, zamki i pałace arystokratyczne, otwierały bramy na przyjęcie licznych gości. Lady Lunley zaprosiła trójkę nierozłączoną do Villiers-Castle w nadziei, iż zdąży tam i książę Whitefield, skoro powróci.

Erminja podzielała tę nadzieję. Przeczucie dziwne jej szeptało, iż tam zobaczy Willjama, obca mu na pierwszy rzut oka, że jednak wkrótce porozumieją się ich serca, jak już raz się zeszły w wzajemnej sympatji. Prąd magnetyczny zbliży ich, i tym razem połączy węzłem nierozerwalnym. Trójka zaproszona wybrała się niebawem do Villiers-Castle. Od dawna Erminja pól i lasów nie widziała, od dawna nie odetchnęła świeżem, wiejskiem powietrzem. W Londynie żyła wśród ciągłej mgły i dymu, przez które wszystkie przedmioty szare jej się wydawały, to też widok, który się teraz jej oczom przedstawiał, oblany słońca jaskrawemi promieniami, wprawiał ją w zachwyt. Silna wegetacja pól angielskich, ciemna łąk i pastwisk zieloność, nie była w niczem podobną do okolic neapolitańskich. Sama różnica przyrody, tłómaczyła jej niejako różność wyobrażeń i zwyczajów. Tam pod gorącem niebem południowem, wesołość, entuzjazm, do szału dochodzący, tutaj zimny rozum i sztywna w każdym przypadku powściągliwość. Pojęła, iż pośród gajów z cytryn i drzew pomarańczowych, pląsały figlarne bóstwa Olimpu, a że bory ciemne i ponure, przez które przejeżdżała, służyły za schronienie *Druidom* i ich religji smętnej i surowej, odpowiednej dla dusz zamkniętych w sobie, lubiących ciszę tajemniczą, gdy przeciwnie naród włoski potrzebował ceremonji religijnych, pełnych pompy i blasku olśniewającego, potrzebował modłów, wznoszących się w niebo w chmurach wonnych kadzideł, na skrzydłach śpiewu melodyjnego.

Lady Stève, dzieliła się wrażeniami podróży ze swoimi towarzyszami, to też rozmowa na chwilę nie ustawała, z kolei poważna lub wesoła, że się nie mało zdziwili, gdy nagle zobaczyli się w długiej alei, do zamku prowadzącej. Zamek, była to siedziba starożytna, z granitu zbudowana, pokryta szarą wieków powłoką, z wieżyczkami i dachem spiczastym. Gdy przed gankiem z powozu wysiadały, blady promień słońca, licujący z zimną naturą, przedarł się przez chmury, które koło południa były się nagromadziły, jak gdyby chciał powitać przybywających z całym orszakiem ułud i nadziei.

Lady Lunley, powitała gości nowych ze szczególną uprzejmością. Hrabiego de Bocé poleciwszy kamerdynerowi, damy obie odprowadziła sama do pokoi dla nich przeznaczonych, zapewniając, iż mają czas przebrać się, i odpocząć cokolwiek za nim *lunch**) podadzą.

Zeszły niebawem do salonu, zapoznano się nawzajem i każdy wyszukał sobie miejsce odpowiednie.

Anglicy są szczerze gościnni, a znajomości robią się łatwiej na wsi niż w mieście. Córka lady Lunley, Dora, wzięła pod ramię Erminję. ofiarując jej odrazu przyjaźń swoją.

Wieczorem naradzano się nad projektami rozmaitemi na dzień jutrzejszy. Kto pójdzie na polowanie, kto zechce ryby łowić na wędkę, kto pojedzie konno a kto w powozie, lub kto zechce małym statkiem po morzu pobujać. Zdecydowano, iż wieczory będą poświęcone muzyce, tańcom, że zagrają jaką wesołą komedyjkę (w zamku była ładna wcale salka teatralna, raz na zawsze urządzona), może nawet, jeżeli się znajdą siły po temu, odśpiewają jedną z łatwiejszych operetek. Każdemu było zostawione wybrać sobie rodzaj rozrywki najodpowiedniejszy, byle tylko całe towarzystwo bawiło się wesoło i swobodnie.

Tydzień upłynął, a Willjam nie pisał i nie powracał. Erminję opanowywało zniechęcenie, księżna była coraz smutniejsza i więcej niespokojna.

— Cóż się jednak dziać może z moim synem?

— Bawi się! — odpowiadał stoicznie pan de Bocé.

— Dla czegoż nie pisze przynajmniej?!

— Powraca zapewne...

Hrabia pocieszał jak mógł matkę stroskaną, sam atoli nie wierzył w to co mówił.

Pewnego wieczora, Erminja schroniwszy się we framugę okna, głęboko w mur wpuszczonego, osłonięta od reszty towarzystwa firanką aksamitną, wpadła w tęskną zadumę, wywołując w pamięci chwile roskoszne. Oczyma duszy widziała ukochanego, jak blady, drżący. wpatrywał się w nią w niemym zachwycie. Ocknęła się nagle, niby ktoś ze snu gwałtownie zbudzony, fałszywym spiewem jakiejś młodziutkiej miss, który kaleczył niemiłosiernie słuch muzykalny uczennicy Bariniego. Zwróciła głowę ku fortepianowi i omal nie krzyknęła... Naprzeciw we drzwiach wchodowych stał Willjam, jakby wywołany jej pragnieniem i tęsknotą. Myślała zrazu, iż to ciąg dalszy jej marzenia... ale nie! to on w własnej osobie, tylko dziwnie sztywny i zimny, jakim go nigdy nie widziała. Jakaż radość przejęła młodą kobietę! Omało serce jej z piersi nie wyskoczyło, na widok ukochanego!

Skoro śpiew się skończył. Minia ujrzała księcia idącego prosto ku niej, ale nie... minął ją i zniknął za drzwiami od drugiego salonu. Zdziwiona uczuła ból serce przeszywający, pusto i ciemno nagle w koło niej się zrobiło. I cóż jej z tego przyjdzie, że powrócił? zapomniała nieboga o swoich złotych włosach, płci liljowej, o tytule, który nosiła, o całem jej otoczeniu! Pocóż do Anglji przyjechała? Nie ruszyła się z miej-

*) Drugie śniadanie, czytaj *loensz*.

sca. Gwar w salonie ogłuszał ją jakby szum fal morskich, osoby zebrane przesuwały się przed jej wzrokiem błędnym niby jakieś ponure zjawiska, śmierć zapowiadające. Omdlewająca, nie zdolna myśli rozpierzchłych pozbierać, uczuła łzy gorzkie, palące na bladej twarzyczce. Odzyskała przytomność prędko, oczy z łez otarła, a przymknąwszy powieki, chciała sobie zdać sprawę ze swego tak niezwykłego położenia, gdy nagle zadrżała pod dotknięciem czyjejś dłoni. Była to księżna, syna pod ramię prowadząca.

— Kochana lady Stève — księżna przemówiła — mamy nakoniec naszego zbiega niepoczciwego! Polecam go twoim względom łaskawym.

Powstała, trzymając się okna aby nie upaść, tak się nogi pod nią uginały. Słów kilka wyjąkała głosem stłumionym. Willjam skłonił się grzecznie, wspomniawszy coś o przyjaźni należącej mu się z prawa, jako bliskiemu krewnemu.

Księżna uszczęśliwiona syna powrotem, nie zwróciła uwagi na pomięszanie Erminji. Po krótkiej chwili pociągnęła syna dalej, aby się nim pochwalić i paniom innym przedstawić. Biedna lady Stève została wśród tego tłumu obojętnego, samotna, opuszczona, jakby na puszczy niedostępnej.

Czyż to istotnie on, Willjam, tak zimno na nią patrzył, takim tonem obojętnym cedził słówka zdawkowe grzeczności światowej? Zdawało się, jakoby śmierć nieubłagana przeszła pomiędzy nimi, zabierając wszelką ułudę, wszelką nadzieję! Czyż możebne, żeby organ jej mowy, oczy, usta, postać cała nic mu nic przypominały? ani jednego echa z dni ubiegłych nie obudziły? Czyżby jej wspomnienie zatarło się zupełnie w jego pamięci?

Powoli, powoli, spokój i równowagę odzyskując, sama siebie łajała za trwogę i przewidzenia niepotrzebne. Wszak *l'Ombra* dla Bariniego, dla niej samej była inną zupełnie osobą. Wyperswadowała sobie wreszcie, iż raczej cieszyć się tem powinna, że jej Willjam nie poznał i nadskakując od razu lady Stève, nie stał się względem *l'Ombry* niewiernym. Cóż zrobi jednak aby mu się dać poznać? Przerażała ją dwoistość jej osoby. Jeżeli wyzna kim była. może stracić szacunek ukochanego, jeżeli nie da mu się poznać, może nigdy miłości jego nie pozyska.

— Czekajmy! — szepnęła sama do siebie.

Trzeba się było najprzód przekonać, czy w jednym z najarystokratyczniejszych salonów angielskich, książe wróci napowrót do przesądów rodowych, które tak wspaniałomyślnie, bez wahania rzucił jej był pod nogi; następnie można przecież spróbować, czy nie uda jej się podbić serca Willjama pod własną postacią lady Stève. Tak go szczerze kochała, iż wierzyła, że i jego rozpłomieni i jemu udzieli się miłość tak gorącą. W jakże dziwnem jednak znajdzie się położeniu! Będzie zmuszona walczyć z własnym cieniem, dać mu zapomnieć czarowną *l'Ombrę*!... Czyż zimna rzeczywistość jest w stanie wyrugować z pamięci zjawisko urocze a nieuchwytne? Czy twarz blada i biała, podoba mu się lepiej niż płeć smagła i włos kruczy spiewaczki? Lady Stève, liczyła na swoje wszechstronne wykształcenie, na wymianę myśli i uczuć wzniosłych, na dowcip, wreszcie na miłość własną Willjama, któremu to powinno pochlebić, gdy zobaczy, że otoczona tyloma hołdami, jego wybiera jedynie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Tajemnice wielkiego świata.

(Ciąg dalszy.)

Od kilku godzin słońce zeszło na niebie, i upał czuć się dawał. Paulina jednak spała jeszcze.

Dwa razy pukano do jej drzwi i nieotrzymano odpowiedzi. Dopiero za trzeciem pukaniem obudziła się, i zaspana jeszcze poszła otworzyć.

Służąca hotelowa przyniosła jej list.

List ten, przyniesiony przez służącego z zamku, zapieczętowany był herbem baronowej.

Paulina otworzyła go, drżąc cała.

„Ktokolwiek bądź jesteś pani — pisała baronowa — przybywaj. Nazwisko, które wzywasz, otwiera ci moje drzwi i serce.“

Paulina ubrała się naprędce i zeszła na dziedziniec. Przechodząc przez podwórze, przypomniała sobie żebraczkę. I zwracając się do oberżysty, którego zastała w kuchni, zapytała:

— Czy nie przenocowaliście tej nocy u siebie cyganki?

— Niech pani wybaczy — odpowiedział. — Miała niedobrą minę i nie zapowiadała nic dobrego. Ale co tam, twarz nie zawsze mówi prawdę. A zresztą, było już po północy, gdy zapukała do drzwi hotelu. O tej godzinie trudno odpędzić kogo.

— Wiem — rzekła Paulina — żeście jej nie odpędzili. Byłam wtenczas w oknie, gdy szła przez podwórze.

— Odeszła dziś rano — rzekł ojciec Rousseau. — Zresztą nic nie zginęło.

— Poszła wcześnie? — zapytała Paulina.

— O tak! zaledwie dnieć zaczęło.

— A którędy poszła?

— Dalibóg! nie wiem — odrzekł oberżysta — ale gdyby poszła po jałmużnę do zamku, nie dziwiłoby mię to wcale.

Paulinie serce mocniej zabiło. Spojrzała na zegar wiszący w kuchni. Zegar ten wskazywał jedenastą godzinię.

Było najmniej sześć godzin, jak żebraczka odeszła. Jakiś niepokój ogarnął Paulinę.

Kazała sobie zaraz pokazać drogę, która prowadziła do Planche-Mibray, i wyszła spiesznie z oberży.

W miarę jak szła wąziutką ścieżką koło winnic, drogą najkrótszą do zamku, niepokój jej wzrastał. Zdawało jej się, że dowie się coś strasznego.

Nareszcie zbliżyła się do krat parku. Tam spostrzegła ogrodnika, który wysypywał piaskiem aleje.

— Czy to tu zamek de Planche-Mibray? — zapytała tego człowieka, który ukłonił jej się z uszanowaniem.

— Tak pani.

— Pani baronowa jest w domu?

Zamiast odpowiedzieć na to zapytanie, ogrodnik zapytał ją:

— Czy to pani może zajechała do hotelu pod Złotym wózkiem?

— Tak mój przyjacielu.

— I do której nosiłem list dziś rano?

— Tak, to ja — odrzekła Paulina.

— Proszę więc iść za mną. Pani baronowa czeka na panią.

Paulina lżej już odetchnęła. Nic więc się nie stało!

Poszła za ogrodnikiem, który zaprowadził ją przez aleje do małego kiosku, w którym baronowa spędzała niegdyś godziny szczęśliwe i spokojne, zajęta czytaniem i pracą w wielkie upały. W tem miejscu pani de Planche-Mibray oczekiwała Paulinę.

Serce aktorce biło gwałtownie.

Stanęła na progu, a baronowa, która siedziała, podniosła się i postąpiła na jej spotkanie.

Ale w chwili, gdy baronowa podawała jej rękę i ogrodnik odchodził, trzecia osoba weszła do pawilonu. Ubrana była jak służąca i niosła tacę, na której stała filiżanka mleka.

Paulina spojrzała na tę kobietę i krzyknęła.

Była to żebraczka z oberży.

I gdy pani de Planche-Mibray wyciągnęła rękę po filiżankę, chcąc ją ponieść do ust, Paulina, krzyknąwszy znowu, wyrwała jej z rąk filiżankę i wylała mleko na ziemię.

— Co pani robi? — zawołała baronowa zdumiona.

— Ratuję pani życie! — odpowiedziała Paulina. — Kobieta ta jest trucicielką!

I w tejże samej chwili, znowu nowa postać wpadła jak piorun, pomiędzy trzy kobiety. Człowiek ten rzucił się na cygankę oszołomioną, chwycił ją za gardło i rzucił na ziemię.

Był to pustelnik z Frettoye, a raczej Fanfreluche, który spoglądając na Paulinę, zawołał:

— Przybyliśmy Bogu dzięki na czas!

— Ale któż jest ta kobieta? — zawołała pani de Planche-Mibray.

— Siostra Munita — odpowiedział Fanfreluche, który przyciskał kolanami nieruchomą cygankę.

IX.

Jakim sposobem żebraczka zmieniła się nagle w służącą, i służąca ta niosła mleko pani de Planche-Mibray?

Dowiemy się to w kilku słowach.

Baronowa wstawała zawsze bardzo rano na wsi. Ze wschodem słońca, a niekiedy nawet przedtem przechadzała się już po parku, to znowu po polach, bądź pieszo, bądź na koniu.

Od czterech dni, jak powróciła do Planche-Mibray, wychodziła jeszcze raniej. Bo teraz, gdy spełnienie obowiązków było jej jedynym celem, i gdy nabrała przekonania, że szczęścia dla niej już nie było, teraz potrzebowała zajęcia ciągłego, i urzeczywistnienia tego programu, który stary Jan skreślił jej w wieczór, gdy ją odprowadzał da klasztoru.

— Bóg poczeka — mówiła, uśmiechnąwszy się do siebie. — Najpierw biedni.

Mówiąc to, myślała o kościele, który chciała wybudować.

Najpilniejszym było założenie szpitala.

Otóż grunta, które otaczały zamek, chociaż były obszerne i liczne, nie były stosowne do założenia budynku podobnego. Trzeba było, aby ten dom schronienia był niedaleko od miasteczka.

Baronowa przypomniała sobie dzień przedtem, że około wybrzeża l'Yonny, wyjeżdżając z Coulanges, był obszerny plac, gdzie był skład drzewa, a który teraz był do sprzedania. Powiedziała więc staremu Janowi, wstawszy rano:

— Chodź ze mną, zajmiemy się szpitalem.

Jan towarzyszył jej.

Pani de Planche-Mibray oglądnąwszy plac, poszła do starego winiarza, do którego ten plac należał.

— Ojcze Santeran — rzekła do niego — czy chcecie sprzedać ten plac?

— Tak, pani.

— Kupię go. Idźcie jutro rano do pana Bompoint, mego notarjusza, którego o tem uwiadomię.

Wyszedłszy z domku ojca Santeran, baronowa de Planche-Mibray razem z Janem poszła drogą boczną, zamiast miasteczkiem.

Wybrała tę drogę z dwóch powodów: najpierw, że była trochę krótszą, a potem: że znajdowała się tam na drodze, z drugiej strony mostu, biedna chatka, w której mieszkała wdowa z pięciorgiem drobnych dzieci, które baronowa odwidzała często i zawsze je czemś obdarzyła.

Zbliżywszy się do mostu, ujrzała kobietę siedzącą na słupku i zajadającą chciwie kawałek chleba, a łzy płynęły jej z oczu.

Ta kobieta, nędznie odziana, była to ta sama, która spędziła noc w hotelu pod Złotym wózkiem.

W mieście, płeć jej ciemna i smagła, oczy czarne i rysy ostre, zwróciłyby może uwagę. Ale na wsi, twarz najbielsza opala się prędko od słońca, a pani de Planche-Mibray nie przypatrywała się jej nawet bardzo, tylko widząc ją płaczącą, zbliżyła się do niej mówiąc:

— Co wam takiego biedna kobieto?

Dolorés — gdyż była to ona — podniosła głowę.

Cyganka umiała zrobić się starszą i zakryła swe bujne włosy. Spojrzała na baronowę z wyrazem nieufności, a ocierając łzy, odezwała się do niej akcentem alzackim.

Opowiedziała jej, że przyjechała z Alzacji z pewną rodziną, która podróżowała i u której służyła za kucharkę.

Rodzina ta zatrzymała się w Froyes, i bawiła tam przeszło tydzień w hotelu. Potem pewnego poranku odjechała, odprawiając Alzaczkę, i zostawiając jej tylko liche wynagrodzenie.

Dolorés ułożyła z pewnością naprzód ten cały romans, bo wywiązała się z niego znakomicie..

Opowiadała, że mając tylko trochę pieniędzy, a nie mając zupełnie papierów, obawia się Paryża, gdzie — jak jej mówiono — biedna służąca, nie zupełnie brzydka, narażona jest na tysiączne pokusy. Szła prosto przed siebie, kierując się na południe, w nadziei, że znajdzie jakie miasteczko, a w niem służbę.

I w ten to sposób przeszła kilka mil drogi, uszczuplając co raz bardziej swe małe fundusze, odepchnięta wszędzie, bo nie miała ani książki, ani papierów, a do tego źle mówiła po francusku.

Przybywszy wczoraj wieczór do Coulanges, spała na strychu w sianie. Za dwa ostatnie sous kupiła chleba, który jadła, a teraz nie wiedziała gdzie iść.

To opowiadanie zdawało się nie tylko prawdopodobnem, ale opowiedziane było z szczerością, która wzruszyła panią de Planche-Mibray.

Baronowa wyjęła portmonetkę, a z niej kilka sztuk złota. Ale fałszywa Alzaczka cofnęła się dumnie, a to

do reszty ujęło baronowę. Nie prosiła o jałmużnę, tylko chciała pracować na życie.

— Janie — rzekła wtedy pani de Planche-Mibray do swego starego lokaja — zaprowadzisz tę kobietę do zamku, dasz jej ubranie stosowne, i użyjesz ją do kuchni.

Jan był tak szczęśliwym, widząc swoją panię powracającą powoli do życia, że w tejże chwili z gotowością usłuchał rozkazu.

Fałszywa Alzaczka poszła za nim, a pani de Planche-Mibray, idąc dalej ścieżką, udała się do domku wdowy.

W godzinę potem powróciła do zamku, i zastała Bréhaigue z biletem Pauliny.

Pani de Planche-Mibray odpowiedziała zaraz na bilet, i przekonana, że Paulina przyjdzie, zamknęła się w pawilonie, gdzie młoda aktorka miała ją znaleźć.

Paulina myliła się, pisząc do baronowej, że nazwisko jej było pewnie nie znane. Dawniej, gdy baronowa była szczęśliwszą, chodziła często do teatru, a Paulina, jak wiemy, miała już wyrobioną reputację dobrej artystki.

Czego przyjeżdżała do Planche-Mibray? Baronowa niewiedziała, ale wspomniała w swym liście o Manuelu, a imię Manuela zmarłego, było jeszcze większem poleceniem, niźli żyjącego.

Zresztą Manuel miał także swoją przeszłość, miał rozmaite stosunki przemijające. Może Paulina należała do tych, które kochał, może przynosiła jakie wspomnienie o zmarłym narzeczonym.

Inna kobieta doznałaby może uczucia zazdrości, ale pani de Planche-Mibray, kobieta serca i rozsądku, doznała zupełnie przeciwnego wrażenia. A zresztą, czyż wszystko to, co znał i kochał Manuel, mogło jej być obojętnem?

Oczekiwała więc Paulinę z wielką niecierpliwością. Lecz Paulina spała długo a godziny ubiegały.

Pani de Planche-Mibray stawała kilka razy w oknie kiosku i patrzyła w aleje parku. Właśnie ogrodnik przechodził i zawołała go.

— Zaniosłeś mój list? — rzekła.

— Tak jest proszę pani baronowej.

— Co ci powiedziała ta pani?

— Nie widziałem jej. Spała jeszcze.

— Trochę pić mi się chce — rzekła baronowa — idź do kuchni i powiedz, aby mi przyniesiono filiżankę mleka.

Zaczęła czytać roztargniona jakąś książkę i niecierpliwiła się ciągle.

W kilka minut potem do kiosku weszła Paulina, a wkrótce za nią fałszywa Alzaczka z filiżanką mleka.

Teraz musimy wytłumaczyć, jakim sposobem Fanfreluche znajdował się tam, i przybył właśnie na czas, by ocalić baronowę.

Nowy pustelnik ułożył sobie wczoraj schadzkę z Pauliną. A dlaczego, zaraz się dowiemy.

Z powodu tajemniczej rozmowy, którą miała z nim, i wycieczki, którą razem odbyli, Paulina przyjęła na siebie obowiązek przygotować powoli baronowę do tej wiadomości piorunującej, że Maugeville, po którym nosiła żałobę w sercu, nie umarł.

Otóż od rana Fanfreluche błąkał się koło parku, przekonany, że pani de Planche-Mibray, jeżeli radość jej nie zabije, zechce widzieć Maugeville'a natychmiast.

On tylko jeden mógł ją zaprowadzić przez las do tego schronienia niedostępnego, gdzie od miesiąca ukrywał tego, którego wszyscy mieli za umarłego.

Park około zamku nie był szczelnie ogrodzony. Gdzieniegdzie tylko był otoczony żywym płotem, lub znowu koło muru szerokim rowem.

Otóż Fanfreluche usiadł sobie za płotem i czekał z sercem bijącem wybuchu radości, aby módz się pokazać, gdy nagle, wpatrując się w park, spostrzegł cygankę, idącą do kiosku z filiżanką mleka w ręce.

Chociaż stary galernik nie widział Dolorés przeszło trzy lata, jednak poznał ją natychmiast.

Poco i jakim sposobem była ona w zamku?

Zrozumiał natychmiast, bo wiedział, jak bardzo kochało się to rodzeństwo. Jeżeli Dolorés była w zamku, z pewnością przychodziła pomścić brata!

Starzec był w pierwszej chwili wzruszony i zdumiony, ale wkrótce odzyskał energję. Rzucił się przez płot, jak zwierz rozjuszony przedzierając się przez krzaki, biegł pokaleczony i zakrwawiony kolcami za Dolorés, i przybiegł do pawilonu, właśnie w chwili, gdy Paulina rzuciła filiżankę z mlekiem na ziemię.

. . . .

A teraz pani de Planche-Mibray, z głową rozpaloną, blada i drżąca, patrzyła z kolei to na Paulinę, to na pustelnika Fanfreluche, to na cygankę, którą ten przytrzymywał kolanami.

Dolorés szarpała się na próżno, bo stary herkules odzyskał dawne siły.

— Pani — krzyczał — wołaj na pomoc, niech ludzie twoi nadbiegną... Jeżeli ta nędznica podniesie się, jesteś zgubioną... Ma z pewnością przy sobie jakiś sztylet zatruty. To nie kobieta, to tygrysica!

Cyganka wrzeszczała na całe gardło.

— A więc tak!.. to ja... jestem Dolorés... siostra Munita... i chcę go pomścić albo umrzeć!... To mleko było zatrute...

Paulina rzuciła się do okna wołając:

— Na pomoc! ratunku! na pomoc!

Ogrodnicy nadbiegli.

— Sznurów! — wołał Fanfreluche — trzeba ją związać. To dzikie zwierzę!

Przyniesiono sznury, i ogrodnicy pomagali trzymać Dolorés, a Fanfreluche wiązał jej nogi i ręce. Skończywszy, obrócił się do baronowej, którą wzrok krwawy i krzyki wściekłe cyganki przerażały i rzekł:

— Później pani odda ją do sądu. Tymczasem musimy jej znaleźć więzienie w zamku — i wziąwszy Dolorés, rzucającą się z ustami pełnemi piany na barki, wyszedł z nią z pawilonu.

Wtedy pani de Planche-Mibray upadła osłabiona na krzesło. Paulina nie mniej wzruszona, ale silniejsza, uklękła przed nią mówiąc:

— Ach! pani... dzięki Bogu! przybyłam na czas... o mało nie przybyłam za późno... Wyjechałam z Paryża przedwczoraj wieczór, w trzy godzin później od tej kobiety, i widzę, że Bóg opiekuje się tobą, gdyż pozwolił mi ją uprzedzić.

— Więc dlatego, aby mnie ocalić, przybyłaś pani tutaj? — rzekła baronowa głosem słabym.

— Tak pani.

I Paulina, ze łzami w oczach, głosem słabym, opowiedziała wtedy pani de Planche-Mibray, drżąc cała, co zaszło w Paryżu i jak to się stało, że odjechała dopiero po wyjeździe cyganki, oraz, jak spotkała fałszywą żebraczkę rano, miedzy Moniteaux i Auxerre, i jak widziała tę kobietę, proszącą o przenocowanie w oberży pod *Złotym wózkiem*.

W miarę jak to opowiadała, uspokajała się, a głos jej nabierał dźwięku zwykłego.

— Przybyłam tutaj, aby cię wyratować pani, z niebezpieczeństwa i śmierci — mówiła dalej Paulina —

ale przybyłam tutaj także i dlatego, aby cię wyrwać z innego niebezpieczeństwa.

Baronowa spojrzała zdziwiona.

— Cóż jeszcze takiego? — zapytała.

Paulina zniżyła głos.

— O! wybacz mi pani — rzekła — jeżeli ja, biedna grzesznica, aktorka, śmiem wymówić to imię w twojej obecności... Manuel...

— Manuel! — krzyknęła pani de Planche-Mibray, której krew wszystka spłynęła do serca. — Tak, pisałaś mi pani o nim w swym liście... Znałaś go więc?

— Widziałam go trzy razy w swem życiu — odrzekła Paulina.

Spuściła oczy, drżała i szepnęła głosem słabym:

— I kocham go!

Słowo to było, jak gdyby łącznikiem dwojga dusz siostrzanych. Magnatka wzięła za rękę aktorkę i ścisnęła ją tkliwie.

— Biedna! — szepnęła.

Ale Paulina podniosła głowę, mówiąc:

— Tak pani, kochałam go, ale on o tem nigdy nie wiedział... kochałam go, a gdy ten nędznik chciał, abym odegrała rolę podłą względem ciebie i niego, oburzyłam się!

Baronowa nie zrozumiała tych słów ostatnich. Paulina mówiła dalej:

— Nędznik ten i kobieta złego prowadzenia, mieli myśl szatańską, wyrwać ci pana de Maugeville i rzucić go w moje objęcia, a zdawało się im to tem bardziej łatwiejszem, że kochałam Maugeville'a, choć on o tem nic nie wiedział. Ale — dodała Paulina z wyrazem dumy — jestem uczciwą kobietą i odepchnęłam ich!

Pani de Planche-Mibray zbladła. Obawiała się odgadnąć tajemnicę.

— Któż była ta kobieta? — zapytała.

— Ona już umarła — odrzekła Paulina.

— Jej imię?

— Umarła przed tygodniem, wyjechawszy z zamku Rochepinte, gdzie przyjechała z swoim wspólnikiem.

— Więc kobieta ta nazywała się Corinna? — zapytała baronowa, drżąc cała.

— Tak pani.

Pani de Planche-Mibray uczuła, jak gdyby zasłona rozdarła się przed jej oczyma.

— Mój Boże! — szepnęła.

Potem spytała nagle:

— A jej wspólnikiem któż był?

— Ten człowiek, którego masz pani zostać żoną, p. de Villenave.

Baronowa stłumiła okrzyk, a usta jej szepnęły:

— Nędznik!

Wtedy Paulina wyjęła zwitek papieru, żółty i zmięty, a podając go baronowej, rzekła:

— Oto dowód zdrady pana de Villenave.

Papier, który Paulina przechowała, byłto bilet pisany do Corinny przez pana de Villenave.

— Boże mój! Boże! — wołała pani de Planche-Mibray głosem rozpaczliwym. — Boże mój!

I zrozpaczona dodała znowu:

— Ale człowiek ten ma moje słowo!

— Wiem — rzekła Paulina.

— Muszę zostać jego żoną, albo zamknąć się na zawsze w murach klasztornych.

I biedna kobieta drżała na wspomnienie nocy strasznej, którą spędziła w klasztorze.

— Albo Bóg najdobrotliwszy zdziała jeszcze cud! — szepnęła Paulina.

— Cud? — i baronowa osłupiała, spojrzała na Paulinę.

— Tak — powtórzyła Paulina — Bóg może zdziałać cud.

Ale baronowa potrząsła głową.

— Niestety! — rzekła — trzebaby, aby Manuel powstał z grobu i wygonił tego człowieka z mego zamku, a umarli nie powstają...

— Mówiono mi przeciwnie, pani, w mojem dzieciństwie.... — szepnęła Paulina.

— Oszukiwano cię, moje dziecię — odrzekła baronowa, której oczy zalały się łzami. — Umarli nie powstają!....

— Kto wie? może... bywały wypadki...

Te ostatnie słowa były jak gdyby iskrą elektryczną, i pani de Planche-Mibray podniosła się odurzona, drżąca, wpatrując się w młodą aktorkę z osłupieniem.

Wtedy Paulina wzięła ją za rękę i rzekła:

— Pani! tym, którym Bóg daje siły nie umrzeć z boleści, nie pozwoli im także umrzeć z radości.

Baronowa krzyknęła znowu.

— Co mówisz pani? co chcesz powiedzieć? — zawołała głosem słabym, i upadła prawie w objęcia Pauliny, która ją zatrzymała.

— Pani — mówiła dalej Paulina, sadzając ją w fotelu i klękła przed nią — tak jak ty, kochałam Manuela, opłakiwałam go tak jak i ty pani opłakujesz, tak samo jak pani myślałam, że umrę...

— Boże mój! — szeptała baronowa — co ona chce powiedzieć?

— Chcę powiedzieć — odpowiedziała Paulina — że p. de Maugeville wypędzi ztąd pana de Villenave.

— Ależ ona szalona! — zawołała baronowa, chwytając rękami swe rozpalone czoło.

Wtedy Paulina krzyknęła z uniesieniem gwałtownem:

— Tak! tak! jestem szaloną, pani, ale szaloną z radości, ponieważ pozwolono mi jest powiedzieć ci: „Manuel nie umarł!"

Baronowa krzyknęła raz jeszcze, oczy jej się zamknęły, a usta szepnęły:

— Boże mój! nie zabijaj mię!

W tejże chwili także Fanfreluche ukazał się znowu na progu pawilonu. Spostrzegł panią de Planche-Mibray nieruchomą z oczami zamkniętemi.

— Dla Boga! — zawołał — zabiłaś ją pani!

— Nie bójcie się ojcze — szepnęła Paulina — nie umiera się z radości!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor - Wydawca: W. Maniecki.